

Juliusz Marek

**Dziedzictwo
piorunów**

Juliusz Marek
„Dziedzictwo piorunów”

Copyright © by Juliusz Marek, 2015
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: Jacek Antoniewski
Korekta: Paweł Markowski
Projekt okładki: Robert Rumak
Zdjęcia na okładce: @ satori; Benjamin Haas; Sergey Nivens – Fotolia.com

ISBN: 978-83-7900-343-3

Wydawnictwo Psychoskok, sp. z o.o.
ul. Chopina 9, pok. 23, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 665 955 131
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>
e-mail: wydawnictwo@psychoskok.pl

Spis treści

Winda do nieba	4
Ona	14
Bilet	70
Zostańmy przyjaciółmi	77
Póki śmierć nas nie połączy.	142
Miłość płomieniem pisana	171
Zbawienie	194

Winda do nieba

Mały chłopiec skulił się w swoim schronieniu. Liczył na to, że metalowa klapa nie odchyli się nagle z piskliwym jękiem przerdzewiałych zawiasów, że blokujące drzwi do kryjówki patyki i skorodowane metalowe drągi wytrzymają.

Że potwór szarpiący za uchwyt od zewnątrz jest zbyt słaby, mimo głodowego szału.

Klapa zadrzała i odchyliła się na tyle, by słabe światło zagóściło w ponurej norze. Chłopiec przycisnął do piersi nóż, jedyną pamiątkę po matce. Na jej wspomnienie łza spłynęła mu po policzku. Jedna łza. Nie mógł pozwolić sobie na słabość, nie teraz.

Osłona wejścia podskakiwała, ale prowizoryczne sztaby nie pozwoliły się jej otworzyć. Bestia warknęła raz i drugi, szarpnęła raz jeszcze, mruknęła z rezygnacją i chyba odeszła... Chłopiec postanowił poczekać kilka chwil. Niektóre z drapieżników nauczyły się cierpliwości. Może i ten czeka, aż jego ofiara, poczuwszy się bezpiecznie, wyjdzie z ukrycia...

Przez długi moment nic się nie działo. Chłopiec w końcu postanowił zapolować na swojego prześladowcę. Teraz już nie da się zaskoczyć, tym razem wprowadzi go w pułapkę.

Nie zdążył wyciągnąć wszystkich blokujących klapę drągów, gdy usłyszał przenikliwy pisk. – *A niech to!* – pomyślał.

Najwyraźniej zwierz sam wlaźł w pułapkę przygotowaną przez chłopca. Dał mu przez to zbyt mało czasu na dobiecie go i zaciągnięcie do kryjówki. Zbolały głos na pewno usłyszały inne drapieżniki...

Uporawszy się z drzwiami, chłopiec chwycił prymitywną włócznię – ostro naostrzony kij – i wyleciał z kryjówki jak z procy. Potwór ciągle wył, dlatego mały myśliwy nie miał problemu ze zlokalizowaniem go. *To ta pod sklepem.* Przebiegł przez poharataną ulicę pełną odłamków gruzu, szkła i plastiku. Na całe szczęście miał na nogach gumowe buty. Trochę zbyt ciepłe, jak na panującą w ruinach miasta temperaturę, ale przynajmniej nic nie wbijało mu się w stopy.

Zarówno buty, jak i reszta jego ubioru pochodziły z okolicznych sklepów odzieżowych. Podczas zamieszek ludzie woleli kraść telewizory i komputery, a przede wszystkim mordować się nawzajem. Nikomu nie przyszło do głowy, by kraść dziecięce ubrania.

Chłopiec miał na sobie wytarte dżinsy koloru pyłu i żółty bezrękawnik. Rękawy stracił na rzecz bandaży, których brakowało mu do zatamowania krwotoku jego matki. Żółta barwa zaś pozostała jedynie w jego pamięci. Ubranie miało kolor taki, jak spodnie i buty – barwę szaro-kremowego pyłu, którego wszędzie było pełno. Miało to też swoje dobre strony – łatwiej było mu się ukryć.

Wielki kojot wił się pod ruinami sklepu. Chłopiec nie pamiętał co w nim sprzedawano, a raczej co mama o tym mówiła. Był zbyt młody, by pamiętać czasy sprzed wojny domowej. Jednak pamiętał, że kiedyś był to sklep. Wyglądał jak sklep. Miał drzwi i wielkie oszklone okna. *Chyba nazywało się to „wystawy”. Nie pamiętam...*

Ta wiedza nie była mu teraz potrzebna. Tak samo jak to, jak miał na imię. Mama zwracała się do niego głównie „synku” albo „kochanie”. A może nigdy nie nazywała go żadnym imieniem? Może nawet nigdy mu go nie nadała? Urodził się kilka lat po Burzy. Trwała już wojna. Imię dla dziecka to chyba nie była najważniejsza rzecz... *Gdybym ja mógł kiedyś zostać mamą, dałbym synkowi na imię... Tygrys.* Tygrys był najpotężniejszym zwierzęciem, jakie chłopiec kiedykolwiek widział. Ogromny, pasiasty kot był wielki jak ciężarówka, a jego ryk osłabiał w chłopcu wolę walki. I wolę życia. *Mama mówiła, że prawdziwe tygrysy nie były takie duże. Że ten jest... ztumowiany... czy jakoś tak.*

W pobliżu nie było widać żadnych drapieżników. Kojot nagle umilkł, gdy chłopiec wbił mu patyk w serce. Teraz pozostało tylko otworzyć pułapkę, którą kiedyś znalazł w sklepie dla myśliwych i zabrać trupa do kryjówki. Otwarta pułapka przyda się na następnego nieuważnego zwierza. Trzeba ją tylko odpowiednio zasypać pyłem...

Chłopiec miał w okolicy pięć takich pułapek. Ktoś kiedyś powiedział, że są na niedźwiedzie, ale tutaj niedźwiedzi nie było. Za to byli ludzie. Ludzie byli najniebezpieczniejszymi zwierzętami ze wszystkich: potrafili używać narzędzi i noży, ciągnęli silniej za uchwyt przy drzwiach i potrafili mówić tak jak chłopiec. Raz prawie go zabili, bo dał się nabrać na ich słowa. Raz.

Ludzie unikali terenów, na których urzędował. Kilku z nich wpadło kiedyś w pułapki na niedźwiedzie, które pogruchotały im kości. Nie wiedzieli ile jeszcze jest tu tych żelaznych szczęk i nie potrafili ich szukać. Tych kilku, którzy dali się złapać, chłopiec użył jako przynęty na padlinożerców, którzy mieli

więcej mięsa niż wychudzone kojoty. Pomysł na przynętę przyszedł chłopcu do głowy, gdy szukał dla ludzi jakiegokolwiek zastosowania po tym, jak okazało się, że są niesmaczni. Ich mięso smakowało dziwnie, jakby było przyprawione. Nawet po upieczeniu chłopiec miał po nich zawroty głowy, a raz nawet zdawało mu się, że widzi mamę. *To pewnie przez te dziwne dymiące rzeczy, które trzymają w ustach. I tę śmierdzącą wodę, którą piją ze szklanych naczyń.*

Gdy przynęty się wyczerpały, zjedzone przez padlinożerców, lub po prostu zgniły, chłopiec chciał zdobyć kolejne. Jednak ludzie trzymali się z daleka. Za granicę terytorium chłopca uznali ulicę biegnącą od tego dziwnego budynku z krzyżem aż do urwiska, gdzie w dole płynęła woda.

Miejsce z krzyżem, które tamci nazywali „kościółem”, było terenem neutralnym. Tam handlowali. Tam chłopiec wymieniał skóry i mięso upolowanych zwierząt na to, czego akurat potrzebował. Czasem był to nóż do ostrzenia włóczni i skórowania zwierzyny, czasem proste patyki, których brakowało w okolicy. Raz zauważył jednego z ludzi, jak robi coś z nożem przy pomocy dziwnego kamienia. Dostał ten kamień za skóry trzech olbrzymich dzikich kotów. Od tamtej pory nie musiał kupować nowych noży.

Handlowali z nim głównie wychudzeni, brodaci mężczyźni, chociaż czasem przychodziła jakaś kobieta. Kobiety były podobne do mamy. Były chudsze i delikatniejsze od mężczyzn, nie miały zarostu i czasem miały te dwie wypukłe rzeczy ponad brzuchem. Niektóre miały jedną. Chłopiec nie wiedział dlaczego, ale bał się zapytać.

Za pierwszym razem, gdy wszedł do kościoła, zebrani w nim ludzie chwycili za broń i zbici w ciasną gromadę stanęli w kątce.

Bali się go. Chłopiec wiedział więc, że nie zrobią mu krzywdy, jeśli i on nie będzie wobec nich agresywny. W ten sposób powstał ich dziwny pakt handlowy. Okazało się, że potrzebują siebie nawzajem. On umiał polować, oni najwyraźniej nie. On potrzebował mniej lub bardziej ich przedmiotów, oni mieli ich sporo i byli skłonni wymieniać się nimi z chłopcem.

Chmury zasłoniły słońce, gdy chłopiec zaciągnął zwłoki upolowanego zwierza do swojej kryjówki. Od dawna zastanawiał się, jak blokować wjazd od zewnątrz, ale doszedł do wniosku, że nikt nie podbierze mu schronienia. Ludzie bali się go, a zwierzęta nie miały po co tam wchodzić, gdy nie wyczuwały go w środku. Najwyraźniej były za głupie na stworzenie zasadzki.

Kryjówka małego myśliwego była niegdyś transporterem opancerzonym. W trakcie któregoś ze starć po Burzy, załoga została wyciągnięta i zamordowana na ulicy. Chłopiec trafił tam ze swoją ciężko ranną matką po tym, jak... *Jak winda do nieba została zniszczona...*

To było bardzo dawno temu, ledwie to pamiętał. Ledwie pamiętał twarz matki... Biegła gdzieś razem z dużą grupą ludzi. Trzymany na rękach syn słyszał strzępy rozmów uciekinierów biegnących w tym samym kierunku. Coś o statku, kosmosie, ucieczce... Gdy zapytał mamę, o co chodzi, ta opowiedziała mu o windzie do nieba. *Wsiądziemy do windy, kochanie, i zabierze nas do Pana Boga* – tak powiedziała. Czym była winda, chłopiec nie wiedział, ale chyba to było coś, co leciało w górę. Niebo było w górze. Pan Bóg to chyba jakiś silny człowiek, który obroni ich przed tymi wszystkimi strzałami i raketami...

Coś jednak poszło nie tak. Ktoś krzyczał: „wpuście nas”, ktoś inny: „nie ma już miejsca”. Padły strzały, ludzie rozproszyli

się. Z drugiej strony też strzelali. Mama chłopca zaczęła pła-
kać, podbiegła jeszcze kilka kroków i błagała kogoś, żeby wziął
chociaż jej synka. Zamiast odpowiedzi w jej ramieniu pojawiła
się dziura, która chlapała krwią...

Chłopiec wciągnął truchło do transportera. Do swojego
małego metalowego domu. – *Gdybym miał to, co ludzie na-
zywają paliwem, mógłbym gdzieś pojechać* – pomyślał. Zaraz
jednak przypomniał sobie, że gdy mama ostatkiem sił dobiegła
do pojazdu, ten nie miał już kół. Na co dzień o tym nie my-
ślał, dlatego teraz zabolął go brak tak oczywistego elementu...

Oprawiając zwierzę, zamyślił się. Wspomnienia znów wy-
pełniły mu głowę...

Uciekali od windy, ścigani przez strzały z plujących paty-
ków. Mama potykała się, krwawiła. Nagle usłyszał potężny
huk. Później słyszał go wiele razy. *Grzmoty. Winda odlatywała
z burzą*. Był zwrócony w kierunku przeciwnym do kierunku
ucieczki, mógł więc obserwować potężny dom, który unosił
się ku górze na kłębiastych chmurach, strzelających czerw-
nymi piorunami. *Winda do nieba...*

Gdy jego matka weszła, a raczej wpadła bezwładnie do kry-
jówki, w której miała niedługo umrzeć, chłopiec ostatni raz
spojrzał na lecącą windę. Unoszące ją chmury przerzedziły
się, teraz były to pionowe słupy sięgające ziemi. Matka wyla
z bólu i rozpacz.

Nagle w windę wbiło się coś szybkiego, co przyleciało z dołu.
Kolejna winda? Mniejsza? Chłopiec szybko porzucił tę myśl,
gdyż potężny podniebny dom zniknął w kuli ognia, a na zie-
mię zaczęły spadać płonące fragmenty...

Chłopiec upiekł mięso na małej kuchence zasilanej gazem,
który zdobył od ludzi z kościoła. Skąd oni go mieli pozostawało

tajemnicą, jednak chłopca mało to obchodziło. Ważne, że go mieli.

Gdy nasycił głód, spostrzegł, że zapada zmrok. Bieg za zwierzyną i wspomnienia o matce zmęczyły go, uznał więc, że może już dziś nie wychodzić z kryjóWKi.

Tej nocy męczył go dziwny sen. Uciekał przed czymś, czego nie potrafił nazwać ani opisać. Uciekał przed czymś, co nie było. Nie istniało. Uciekał przed *niczym*.

Biegł ulicami miasta, które nie było już zrujnowane. Budynki lśniły gładkimi powierzchniami, niczym lustra, o których opowiadała matka chłopca. Jednak blask był złowrogi, ciemny, co wydawało się niemożliwe.

Ulica za ulicą, skrzyżowanie za skrzyżowaniem, chłopiec biegł przed siebie. W szybach sklepów widział swoje odbicie – mały, obdarty z ubrań i poczucia bezpieczeństwa kształt, pędzący w ciemności. Mrok otaczał go coraz ciaśniej, a gdy się odwrócił, ujrzał za sobą wielkie *nic*. To pożerało miasto, ścigając malca nieśpiesznie. Nie musiało się śpieszyć. Miało całą wieczność, a mały uciekinier powoli opadał z sił...

Za kolejnym zakrętem ujrzał swoją matkę, ledwie dyszący strzęp człowieka na skraju śmierci. Dziura postrzałowa broczyła krwią, była jak czerwony gejzer. Chłopiec podbiegł do matki, i wbiegł w ranę...

Znalazł się w czerwonym tunelu, cuchnącym prochem i rozkładem. Obejrzał się i przez wlot ujrzał resztki miasta pożerane przez *nicosc*. Nie miał dokąd uciekać, pozostał jedynie tunel w głąb jego matki. W głąb siebie, w kierunku szczęścia, które utracił...

Ściany tunelu były wilgotne i chropowate, chłopiec kilkakrotnie dotykał ich palcami, które przyklejały się błyskawicznie

i musiał je odrywać z wielką siłą. Zaczęło brakować mu tchu, ale musiał przyspieszyć. Gdzieś tam musiał znaleźć ocalenie. Może mógł dotrzeć do serca, do którego mama tak często go przytulała...

Nagle znalazł się na placu przed windą do nieba. Zawahał się... Wokół było pusto. Nie było nikogo, kto by uciekał, nikogo, kto broniłby dostępu. Nie było jego samego na rękach matki. Był tylko on, ten senny strzęp. I *nicość*, zaciskająca wokół swój pierścień nieistnienia. Postanowił wejść do środka.

– *Udało mi się* – pomyślał chłopiec. – *Udało mi się wsiąść do windy. Teraz zobaczę tego Pana Boga i poproszę go o pomoc...* Urwał myśli, gdy zobaczył siedzącego na kamieniu starca. Kamień... nie był w środku windy, był na zewnątrz, na pokrytej pyłem ulicy, przed swoją kryjówką. Siedzący na kamieniu człowiek miał na sobie długą, białą szatę. Włosy i broda również były długie i białe. Patrzył na chłopca smutnym wzrokiem.

– Nie mogę cię ocalić, mały – powiedział zbolalym głosem.

– Kim jesteś, człowieku? – zapytał malec.

– Niektórzy mogliby powiedzieć, że ojcem.

– Co to jest ojcem?

Starzec westchnął cicho, po czym wstał i podszedł do chłopca.

– Twoja mama chciała cię ocalić – rzekł, kucając przy nim.

– Ale tak naprawdę przyspieszyłaby tylko nieuniknione. Ci źli ludzie uratowali ci życie... na jakiś czas. Ale to, co ludzie mają w sercach, często prowadzi do unicestwienia. – Westchnął i spojrzał w niebo. – Tak niewielu zniszczy tak wielu przez jednego.

– Co to znaczy? To wszystko... – zaciął się chłopiec. W od dali znów unosiła się winda do nieba, znów wbiły się w nią

paciski i znów eksplodowała. Wszystko to na błyszczącym ciemnością ekranie *nicości* – Co to jest unicestwienie? I co to jest to *nic*?

Pierścień *nicości* zatrzymał się w promieniu kilkunastu metrów od nich. Starzec znów spojrzał na chłopca.

– Ci, którzy uważali się za dobrych ludzi, twierdzili, że piekło to wieczne płomienie. A tymczasem sami stworzyli piekło, tutaj. Płomienie, wieczne płomienie... wieczne, bo trwające do ich końca.

– Ale ja nie rozumiem... – zaczął chłopiec, po czym jęknął z bólu.

Nicość wokół zapłonęła. Otaczał ich teraz pierścień płomieni, tak, jakby cały świat nagle się zapalił. Płonął też chłopiec. Patrzył na swoje ręce, z których zaczęła złazić skóra, wrzeszczał, patrząc na stopy, które odsłaniały swoje czerniejące od gorąca kości... Starcowi jednak ogień nic nie robił. Patrzył tylko smutno na chłopca, stawiając krok za krokiem w tył, aż skrył się w płomieniach. Chłopiec został sam. I cierpiał.

Nagle płomienie zniknęły. Znów był cały, niespalony. Znów miał skórę i znów miał ubranie. Stał obok swojego niedziałającego transportera, otaczały go ruiny zniszczonego miasta... na lekkim wietrze powiewał kawałek jakiejś szmaty... wyblakłe barwy: czerwona, biała i niebieska. Paski i kilka gwiazdek... Chłopiec nie wiedział co to. Nie rozumiał, tak samo, jak nie rozumiał słów starca w bieli. Zrozumiał coś innego.

Obudziłem się.

Śniąc, wyszedł na zewnątrz. Stał teraz przed swoją kryjówką, patrząc w niebo tam, gdzie patrzył stary człowiek. Na słońce, grzejące swoimi promieniami ziemię... – *Gorąco* – pomyślał chłopiec.

Spojrzał niżej. Nad horyzontem unosił się pojedynczy smukły kształt. *Winda do nieba!* Chłopiec zerwał się do biegu, ale po kilku krokach upadł. Usiadł na klęczkach, zanosząc się płaczem. Łzy ciekły mu po twarzy nieprzerwanym strumieniem. *Tak daleko... To tam powinienem być... Tam...*

Wtem gdzieś obok windy, zza horyzontu wynurzyła się następna, a po chwili kolejne. Po kilku minutach było ich całe mnóstwo. Cienkie, białe igły, unoszące się na słupach chmur. Wszystkie, jedna po drugiej, zaczęły zmieniać swój tor. Zakręcały. Leciwały gdzieś... Kilka leciało w kierunku chłopca. *Lecą tutaj, lecą po mnie i po tych ludzi z budynku z krzyżem,* ucieszył się.

Winda była coraz bliżej, chłopiec słyszał już syk powietrza. Wstał, zaczął skakać i machać rękami, krzyczeć i cieszyć się. Potężny kształt przeleciał z rykiem na wysokości dachów nad jego głową. Chłopiec poczuł zawód, lecz trwał on tylko do chwili, gdy ściana ognia otoczyła go ze wszystkich stron...